

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (32)

(fragmenty)



Nie był typem intelektualisty, lecz witalisty i prawdopodobnie kochając się w Jurku, kochał się przede wszystkim w jego młodości (przypominającej mu własną młodość). Strasznie przeżywał swoje odchodzenie w stronę dojrzałości i starości, kurze łapki, zmarszczki.

Już dawno żadna książka nie zrobiła na mnie takiego wrażenia. Choć smutna to i miejscami przygnębiająca lektura przypominająca ton dzienników Sandora Maraiego, który popełnił na starość samobójstwo. U Iwaszkiewicza, oprócz tej zabójczej melancholii i skargi, są też stronicie buchające żarem namiętności, witalności, miłości. Sama zaś opowieść o nocnym czuwaniu w kostnicy przy zmarłym kochanku wstrząsa nutą żalobną pieśni o cierpieniu i gołgocie, jest przejmującym lamentem cierpiącej duszy.

Przemyski Turniej Garbusów

Wróciłem dziś z Przemyśla, gdzie przez cztery dni braliśmy udział w „turnieju garbusów” (określenie Miłosza), czyli poetów. Poczucie osamotnienia i świadomość, że mogę wydawać swoje najlepsze tomy wierszy, wychodzić z portek, a i tak karty (nagrody, eseje) są już rozdane przez niezbyt zdolnych, za to doskonale wkomponowanych w układy towarzysko-ideologiczne panów redaktorów, poetów i krytyków. A przy tym poczucie, że pozostanę zawsze dla niektórych z nich kimś obcym, parweniusem, chłopcem z Borzęcina przez przypadek zabłąkanym w ich świecie (a może tylko tak mi się wydaje?). Razi mnie i drażni ich literackość, ich samozadowolenie wynikające z pluskania się w tym samym akwariu, gdzie od dawna niezmieniona woda.

Prawie sami faceci...

Rozdrażnienie po powrocie i refleksja, czy należy brać udział w zgromadzeniach,

gdzie poeci odbijają się w innych poetach jak w krzywych lustrach? A z drugiej strony żal, bo ciągnie człowieka-poetę do podobnych sobie ludzi-poetów. Lubimy grupowo onanizować się mówieniem o pisaniu, bo brakuje nam normalnej publiczności. Jednak takie zjazdy uświadamiają, że inność boli i że pewnych układów w „literackim grajdołku” nad Wisłą nie da się przeskoczyć.

Niedzielnny Przemyśl w słońcu przepiękny, Ogród Botaniczny, Teresa i Romek Zielenkowie z nalewkami spirytusowymi zawsze przyjaźni, serdeczni.

Siemion

Dowiedziałem się o nagłym (wypadek samochodowy) odejściu w zaświaty Wojtka Siemiona... Józek Pless poprosił mnie, bym napisał wspomnienie o wybitnym aktorze do książki. Oto ono:

Dwu było największych popularyzatorów mojej poezji w rodzinnym Borzęcinie, skąd wyjechałem w świat jako trzynastoletni chłopak...

Pierwszym – nieznanym mi misjonarz, który zinterpretował na rekolekcjach w borzęckim kościele wiersz „cenionego w Polsce poety Józefa Barana” co moi ziomkowie przyjęli z należnym i nabożnym skupieniem.

Drugim – Wojciech Siemion, który na początku lat 90. zjawił się w małopolskiej wiosce prosto ze stolicy jako gwiazda dożynek i uczynił mnie sławnym, wygłaszając dwa wiersze oraz zadając pytanie licznie zgromadzonym chłopom (i babom) na tutejszym stadionie sportowym – kto jest autorem? Ponieważ nikt nie wiedział, wybitny aktor mógł sobie podworować ze słuchaczy i przypomnieć stare, ale jare powiedzenie: „Cudze chwalicie, swego nie znacie...” „A następnie oczywiście wygłosił pochwałę cytowanego poety.

Odwiedził także mój dom rodzinny i przekomarzał się z moją mamą i ojcem, którzy wspominali potem jeszcze parę razy tę rozmowę z panem „Siemianem”...

Ale tak naprawdę znaliśmy się wcześniej, nie znając. A było to tak... W latach 70. nazwał mnie w okienku telewizyjnym „swoim młodszym przyjacielem” i przeczytał parę wierszy, o czym znajomi nie omieszkali mi donieść. Wprawiło mnie to w dumę, lecz i w niemałe zdziwienie, bo nigdy dotąd nie miałem szczęścia zetknąć się ze sławnym aktorem na żywo...

Postanowiłem więc nadrobić zaległości i gdy nadarzyła się okazja, primo: poznać go, secundo: przypieczętować „naszą przyjaźń” wywiadem z aktorem do krakowskiego tygodnika „Wieści” gdzie zarabiałem na chleb. Siemion był w 1986 zaproszony do Olkusza i Skały. Spędziłem z nim cały dzień i miałem okazję przyjrzeć się z bliska, jak sobie radzi na scenie i w towarzystwie „pana, wójta i plebana”, a także w wianusku pań z koła gospodyń wiejskich. Wieczorem odwiedziliśmy znajomków Wojtka – małżeństwo sławnych na okolicę podróżników po Afryce. Najbardziej utkwiła mi w pamięci scena z kotem państwa tego domu. Kot nazywał się Murzynek i budził wielkie zainteresowanie

aktora, szczególnie w tych momentach, gdy gospodarze próbowali dojść jakoś do głosu i opowiedzieć parę frapujących przygód z Afryki. Nie udawało im się to jednak, gdyż Siemion tak namiętnie głąskał kota i przymilał się do niego czule, pytając o różne szczegóły z nim związane, że podróżnicy dawali za wygraną, rezygnowali w końcu z opowieści, a przy stole mógł brylować niepodzielnie Wojtek.

Parokrotnie spotykałem się też z aktorem jako recytatorem na różnych imprezach poetyckich. Między innymi na biesiadzie poświęconej Harasymowiczowi w Bieszczadach, na Warszawskich Jesieniach Poezji, a niedawno, bo rok temu, na Międzynarodowym Festiwalu Poezji w Poznaniu, gdzie w trakcie wygłaszania przeze mnie eseju „Poezja i empatia” wspomógł mnie, brawurowo czytając ze mną wiersz „Taniec z Ziemią”, co niesłychanie ożywiło występ. Po prostu wyskoczył na środek sali wypełnionej zaproszonymi poetami i bez uprzedniego przygotowania zaczął za mną powtarzać – we właściwy sobie sposób – kolejne wersy.

Jakieś sześć, siedem lat temu spotykaliśmy się też rok po roku na grudniowych kolacjach przedwigilijnych u wspólnej znajomej (chodzi o skrzypaczkę Romę Krzemień), choć nie umawialiśmy się na owe spotkania. Ba, prędzej bym się diabła spodziewał niż Wojtka w krakowskiej kamienicy, parę ulic od mojej. Ni stąd, ni zowąd zjawił się tam, „śmieszyl, tumaniał, przestraszał”, a właściwie to nawet nie śmieszyl, lecz wygłaszał mądre wykłady o poezji, opowiadał anegdoty, intonował kolędy i czytał wiersze.

Z tego spotkania pamiętam też, że uparł się, iż przeczyta na głos moje wiersze z najnowszego tomiku. Powiedziałem mu, że nie są stylizowane, a on takie lubi najbardziej, na co się zachnął. Wybrał kilka liryków, zaskakująco je interpretując. Wręcz zbił mnie z pantałyku, bo czytał jakby przeciw sobie i wychodziło mu! Dostał oklaski od siedzących przy stole. Musiałem się ze wstydem przyznać, że go nie doceniłem.

Pamiętam, że wspominaliśmy naszego wspólnego znajomego i poetę, którego obydwa wysoko ceniliśmy: Mirona Białoszewskiego. Poprosił mnie o tekst mojego wspomnienia o Mironie do jego książki o tym „osobnym poecie”. Tekst rzeczywiście ukazał się w niej. W następnym roku Wojtek też gościł na spotkaniu przedwigilijnym u Romy i mimo że cierpiał na lumbago – wodził rzecz jasna rej i zadawał szyku, choć pod koniec biesiady był jednak przygaszony, pewnie ze względu na ból nogi, bo chyba nie o starość chodziło; pozostał przecież do końca żywotny i młody, o czym mogłem się przekonać na festiwalu poezji w Poznaniu...

Do kilku naszych zaplanowanych wcześniej spotkań niestety nie doszło. Ja nie przyjechałem – bo czułem się kiepsko – na jego jubileusz do Petrykozów, choć byłem tam przez niego zaproszony, podobnie jak parę lat wcześniej zrezygnowałem z wyjazdu na jakiś inny jego jubileusz, który miał się odbyć bodaj w Starej Prochowni.

cdn.